

SUSAN SONTAG

Świat jak Indie

Z cyklu „Wykładów św. Hieronima” – o tłumaczeniu literackim

Pamięci W. G. Sebald

„Przekładać” – znaczy na przykład: rozprowadzać, „transportować”, szerzyć, tłumaczyć, czynić (bardziej) dostępnym. Zacznę od sugestii – można powiedzieć, wyolbrzymienia – że przez tłumaczenie literackie rozumiemy, moglibyśmy rozumieć, tłumaczenie tego niewielkiego odsetka wybranych książek, które rzeczywiście są warte przeczytania; to jest – warte ponownego przeczytania. Będę się upierać, że odpowiednio rozpatrywana sztuka przekładu literackiego oznacza dbałość o wartość samej literatury. Dbałość przekraczającą oczywistą potrzebę, by tłumacz ułatwiał tworzenie rynku literatury jako małego, prestiżowego biznesu. Troskę wykraczającą poza rolę tłumacza w przetwarzaniu literatury w sport narodowy i międzynarodowy, oparty na współzawodnictwie (z rywalizacją i dochodowymi nagrodami). Opiekę stojącą ponad handlowymi przyczynami przekładu i wynikającą z dawnych, czysto ewangelicznych pobudek. Rozpoznanie, które jest trudniejsze w dzisiejszych, pozbawionych wartości czasach.

W tym, co nazywam ewangeliczną pobudką, tłumaczenie ma za zadanie poszerzenie grona czytelników książki domniemanie istotnej. Niektóre pozycje są wyraźnie lepsze od innych, więc hierarchia literacka ma kształt piramidy: książki „szczytowe” powinny trafić w jak najwięcej rąk, czyli być tłumaczone w pierwszym rzędzie. Oczywiście, taki pogląd na literaturę wymaga pewnej zgody co do tego, które książki są najważniejsze. Nie wymaga on jednak od tej zgody, a raczej kanonu, niezmienności po wsze czasy.

Na szczycie wspomnianej piramidy są książki postrzegane jako święte: konieczna lub istotna ezoteryczna wiedza, która, z definicji, jest zalecana do tłumaczenia. (Prawdopodobnie najważniejsze przekłady to tłumaczenia Biblii: św. Hieronima, Lutra, Tyndale’a, Biblia Autoryzowana.) Tłumaczenie jest więc przede wszystkim czynieniem lepiej znanym tego, co zasługuje na lepsze poznanie, ponieważ udoskonala, pogłębia, uwrażliwia; ponieważ jest nieodzownym dziedzictwem przeszłości; ponieważ jest zasługą wniesioną do wiedzy, świętej lub innej. W bardziej świeckim znaczeniu tłumaczenie miało także przynieść korzyść tłumaczącemu: było wartościowym, poznawczym – i etycznym – treningiem.

W czasach, gdy twierdzi się, że komputery – „maszyny tłumaczące” – będą wkrótce w stanie wykonywać większość zadań związanych z przekładem, to, co nazywamy dosłownym tłumaczeniem, utrwała tradycyjny sens tego, co pociąga za sobą przekład. Nowy pogląd jest taki, że tłumaczenie oznacza szukanie ekwiwalentów lub, aby wzbogacić metaforę, jest zagadką, dla której można obmyślić rozwiązanie. Tymczasem stary pogląd jest taki, że tłumaczenie to dokonywanie świadomych wyborów pomiędzy większą liczbą możliwości niż: „dobrze” i „źle”, „prawidłowo” i „nieprawidłowo”. Alternatywne tłumaczenia dzielą się na poziomy: „dobre”, „lepsze”, „wyśmienite” oraz płaszczyzny: „staromodne” oraz „w dechę”, „wulgarne” oraz „pretensjonalne”, „ściśle” oraz „rozwlekłe”...

Przy wyborze tego, jak być dobrym czy jeszcze lepszym, zostało przyjęte stosowanie wiedzy, zarówno szerokiej, jak i głębokiej, co należało do tłumacza. Tłumaczenie, które jest tutaj rozumiane jako czynność wybierania w głębszym znaczeniu, było fachem reprezentantów konkretnych kultur. Tłumaczenie rozważne, skrupulatne, pomysłowe, z szacunkiem dla oryginału, było dokładną miarą wierności tłumacza względem literatury samej w sobie.

Wybory, które mogą być uważane jedynie za językowe, zawsze wnoszą też standardy etyczne, co sprawiło, że aktywność translatorska stała się nośnikiem wartości takich jak spójność, odpowiedzialność, wierność, śmiałość, pokora. Etyczne rozumienie zadania stawianego przed tłumaczem miało swoje korzenie w świadomości, że przekład jest właściwie zadaniem niemożliwym do wykonania, jeżeli rozumiemy go jako umiejętność zajęcia się tekstem jakiegokolwiek autora piszącego w jednym języku i przełożeniu go, nienaruszonego, bez strat, na inny język. Oczywiście, nie jest to tym, na co kładą nacisk ci, którzy niecierpliwie oczekują wyparcia dylematów tłumacza przez zastąpienie go lepszymi, bardziej błyskotliwymi „maszynami tłumaczącymi”.

Tłumaczenie literackie jest rodzajem literatury – wszystkim, ale nie mechanicznym zadaniem. Jednak tym, co czyni je tak złożonym przedsięwzięciem, jest to, że odpowiada ono różnorodnym zamysłom. Istnieją wymagania wyrastające z natury literatury jako formy komunikacji. Jest też nakaz, postrzegany jako niezbędny, by uczynić ją znaną jak największej liczbie odbiorców. Istnieje także ogólna trudność z przechodzeniem z jednego języka na drugi, a szczególnie „nieustępliwość” niektórych tekstów wskazuje na to, że jest coś „wrodzonego” w dziele poza zamiarami lub świadomością autora, co wyłania się, kiedy rozpoczynany jest proces tłumaczenia – pojawia się tu wartość, którą, z braku lepszego słowa, nazywamy „przekładalnością”.

Ta seria złożonych pytań jest często ograniczana do wiecznych debat pomiędzy tłumaczami – debat o dosłowności znaczeń – które sięgają przynajmniej starożytnego Rzymu, kiedy grecka literatura była tłumaczona na łacinę i zachęcała do nauki tłumaczy ze wszystkich krajów (w związku z różnorodnością tradycji oraz uprzedzeń). Najstarszym tematem dyskusji o tłumaczeniach jest rola dokładności i wierności. Z pewnością w starożytnym świecie musieli być tłumacze, którzy dokonywali bardzo wiernych przekładów literackich (i przekłetej eufonii!), zajmując pozycję bronioną ze ślepym uporem na przykład przez Włodzimierza Nabokova w jego angielszczyźnie *Eugeniusza Oniegina*. Jak inaczej można wytłumaczyć wyraźną natarczywość samego świętego Hieronima (ok. 331-420) – intelektualisty w starożytnym świecie – który (szukając argumentów, co zapoczątkował Cyceron) ukazywał najobszerniej, w przedmowach i w listach, że nieuniknionym skutkiem celowania w wierną reprodukcję słów i wizerunku autora jest poświęcenie ich znaczenia i wdzięku?

Fragment ten pochodzi z przedmowy Hieronima i odnosi się do jego tłumaczenia *Kroniki* Euzebiusza na łacinę. (Przetłumaczył ją w latach 381-382 n.e., gdy mieszkał w Konstantynopolu, na sześć lat przed osiedleniem się w Betlejem w celu studiowania języka hebrajskiego, i prawie na dekadę przed rozpoczęciem epokowych tłumaczeń Biblii z hebrajskiego na łacinę). W tym wczesnym tłumaczeniu z greckiego Hieronim napisał: „Przez długi czas było w zwyczaju uczonych ludzi, by ćwiczyć umysły przez przekładanie na łacinę tekstów greckich pisarzy i, co jest trudniejsze, tłumaczenie wierszy znakomitych autorów pomimo skrępowania wymaganiami poetyckiego wersu. To w ten sposób nasz Tully [Marek Tulliusz Cyceron] przełożył dosłownie całe dzieła Platona..., [a później] zabawiał się ekonomią Ksenofonta. W drugiej z tych prac złota rzeka elokwencji przez cały czas natrafia na przeszkody, wokół których jej wody łamią się i pienią do takiego stopnia, że osoba

nieznająca stanu pierwotnego nie uwierzyłaby, że były one czytane przez Cyncerona. I nic dziwnego! Bo nie jest łatwe podążanie za czymś tekstem... Zachowanie nienaruszonej trafności i wdzięku języka jest trudnym zadaniem. Niektóre słowa skutecznie odzwierciedlają myśl; sam nie znam słów, dzięki którym mógłbym przekazać znaczenie; i podczas gdy staram się znaleźć sens, mogę przejść długą, okrężną drogę i osiągnąć swój cel, lecz to będzie niewielka odległość w mojej podróży. Wtedy trzeba wziąć pod uwagę tajniki przekładu i wątpliwości w niektórych przypadkach, różnorodność kształtów języka i, jako ostatnie, typowy, że tak powiem, idiom języka. Przekład literalny brzmi absurdalnie; jeżeli z drugiej strony jestem zmuszony do zmiany albo szyku wyrazów albo samych wyrazów, to chyba powinienem zaniechać pełnienia obowiązków tłumacza.” [tłum. na j. ang. W.H. Fremantle, 1892]

Uderzające w tym fragmencie jest przeświadczenie Hieronima, że jego czytelnicy rozumieją, jak rażące jest dosłowne tłumaczenie tekstu. Jak później mówi w przedmowie, to, co czytamy w przekładzie, bez wątpienia jest zubożeniem oryginału.

Jeśli ktokolwiek myśli, że piękno języka nie cierpi na tłumaczeniu, niech spróbuje swych sił w przełożeniu Homera słowo w słowo na łacinę. Posunę się nawet dalej mówiąc, że jeśli przetłumaczy ten sam tekst na prozę w swoim własnym języku, wówczas szyk słów wyda się absurdalny, a najbardziej elokwentny z poetów najbardziej głupim.

Jaki jest najlepszy sposób na poradzenie sobie z nieodłączną niemożnością tłumaczenia? Hieronim nie ma żadnych wątpiwości, jak należy postępować, co tłumaczy wielokrotnie w przedmowach, które napisał do różnych przekładów. W liście do Pammachiusa, napisanym 396 roku, cytuje Cyncerona, by potwierdzić, że jedynym słusznym sposobem tłumaczenia jest: „zachowanie sensu, jednocześnie zmieniając jego formę w taki sposób, aby dostosować metafory i słowa do własnego języka. Nie uważałem za potrzebne przekładanie słowa w słowo, ale odtworzyłem ogólny sens i nacisk, akcent, emocje.”

Później w tym samym liście, cytując tym razem Evagriusa – trzeba przyznać, że miał on wielu krytyków – deklaruje wyzywająco: „Dosłowne tłumaczenie z jednego języka na drugi przyćmiewa oryginalny sens.” Jeśli czyni to z tłumacza współautora książki, niech i tak będzie. „Prawdą jest – pisze Hieronim w przedmowie do Euzebiusza – że po części zająłem miejsce, grałem rolę tłumacza, a po części pisarza.”

Omawiany temat z trudem mógłby być ujęty z większą śmiałością czy zgodnością ze współczesnymi rozmyślaniem. Jak bardzo tłumacz jest upoważniony do dostosowywania – to znaczy odtworzenia – tekstu do języka, na który praca jest tłumaczona? Jeśli wierność słowu i literalna doskonałość w nowym języku się nie sprawdzają, jak bardzo „wolne”, niezależne, nieograniczone może być odpowiedzialne tłumaczenie? Czy pierwszorzędnym zadaniem tłumacza jest zatarcie obcości tekstu i „przerobienie” go w zgodzie z normami „nowego” języka? Nie istnieje żaden twórca poważnego przekładu, u którego podobne problemy nie wzbudzałyby niepokoju: dosłowne tłumaczenie jest, jak balet klasyczny, czynnością podległą nierealistycznym standardom, to znaczy standardom tak wymagającym, że muszą rodzić niezadowolenie, poczucie bycia nie wystarczająco dobrym, doskonałym, zbyt mało wyróżniającym się spośród ambitnych „współpraktujących”. I jak balet klasyczny, dosłowne tłumaczenie jest sztuką repertuaru. Prace uważane za główne, kanoniczne, podstawowe są regularnie powtarzane, ponieważ obecna adaptacja wydaje się zbyt powolna, niezbyt

dokładna; lub uważa się, że tłumaczenie ma za dużo błędów; albo że idiom, który wydawał się być przejrzysty w czasie pracy translatorskiej, teraz wydaje się już nie dość czytelny.

Baletnice szkolone są w dążeniu do perfekcji: wzorowej, pozbawionej błędów wyrazistości, ekspresyjności. W dosłownym tłumaczeniu, w którym istnieje wiele nakazów, do których przekład musi się odnieść, może istnieć jedynie najlepszy, nigdy perfekcyjny, efekt. Tłumaczenie – z definicji – zawsze pociąga za sobą stratę oryginalnej treści. Wszystkie przekłady wcześniej czy później okazują się niedoskonałe i być może, nawet w najtrudniejszych przypadkach, prowizorycznie istnieją jedynie „tu i teraz”.

Święty Hieronim tłumaczył – z hebrajskiego i greki – na łacinę. Ten ostatni język przekładu był i miał pozostać na wiele wieków językiem międzynarodowym.

Wygłaszam to przemówienie w nowym języku międzynarodowym – według szacunków – matczynym języku dla 350 milionów ludzi i drugim dla dziesiątek milionów na całym świecie.

Jestem tutaj, w Anglii, gdzie język, w którym mówię i piszę, się narodził. Powinam przyjąć prosty punkt widzenia, w którym *nie* jesteśmy podzieleni przez wspólny język, jak mówi stare porzekadło. I w moim kraju nie nazywamy języka, w którym mówimy, „amerykańskim” (mimo że tytułowa strona francuskiego tłumaczenia mojej książki brzmi: „traduit de l’americain”). Jednak wydaje się, że są ludzie w Stanach, którzy nie wiedzą, dlaczego nazywają go angielskim.

Kilka lat temu mój przyjaciel z Anglii, pisarz z wyraźnym oxfordzkim akcentem, wraz z żoną i nastoletnimi córkami po raz pierwszy odwiedził Amerykę i zdecydował, że najlepszym sposobem na przeżycie pełnego amerykańskiego „experience” będzie wypożyczenie samochodu i podróż w głąb kraju – od Nowego Jorku po Kalifornię. Zatrzymując się na stacji benzynowej gdzieś w stanie Iowa w upalny letni dzień, po krótkiej rozmowie z pracownikiem obsługującym jego samochód, został przez niego zapytany: „Skąd jesteście?”. „Z Anglii” – odpowiedział mój znajomy, ciekaw, co może z tego wyniknąć. „Bez żartów” – wykrzyknął tamten. „Świetnie mówisz po angielsku jak na kogoś zza granicy”.

Oczywiście, większość z nas wie, skąd się wziął angielski. I to jest chwała literatury mojego kraju, której historia nie jest o wiele dłuższa niż dwieście lat, że jest tworzona w waszym tysiącletnim języku.

Każdego dnia siadam, by pisać, podziwiam bogactwo języka, którego mam prawo używać. Ale moja „duma językowa” jest w pewien sposób sprzeczna ze świadomością innego lingwistycznego przywileju: pisanie w języku, który (z reguły) każdy jest zobowiązany czy po prostu pragnie zrozumieć.

W czasach światowej dominacji kolosalnego i wyjątkowego supermocarstwa, którego jestem obywatelem, początkowa, teraz pozornie identyczna, przewaga *lingua franca*, języka, w którym mówił Shakespeare, była czymś w rodzaju żartu. Jednym z kluczowych momentów było zaadoptowanie w latach 20. języka angielskiego jako języka międzynarodowego w cywilnym lotnictwie. By samoloty mogły spokojnie i bezpiecznie krążyć, ci, którzy nimi sterowali i ci, którzy lotami kierowali, musieli posługiwać się wspólnym językiem. Włoski pilot, lądując w Wiedniu, rozmawia z wieżą po angielsku. Australijski kapitan, lądując w Neapolu, rozmawia z wieżą po angielsku. Co więcej, tworzy to pewną osobliwość: włoski samolot z Neapolu do Palermo, szwedzki

pilot ze Sztokholmu lecący do Malmö, brazylijski kapitan z Sao Paulo do Rio – każdy z nich powinien móc komunikować się ze stacją kontroli lotów w języku angielskim. Teraz bierzemy to za pewnik.

Wydaje mi się, że w znacznie większym stopniu wszechobecność komputerów – narzędzia innego rodzaju transportu: transportu mentalnego – wymagała dominującego języka. O ile polecenia na pulpicie (interfejs) prawdopodobnie formułowane są w ojczystym języku, to wchodzenie do sieci i używanie wyszukiwarek internetowych, a więc międzynarodowe krążenie po komputerze wymaga znajomości angielskiego.

Angielski stał się uniwersalnym językiem, wyrównującym nierówności lingwistyczne. Indie posiadają szesnaście „oficjalnych języków” (w rzeczywistości można tam spotkać się z dużo większą ilością dialektów) i nie ma takiej możliwości, aby ze swą różnorodnością etniczno-wyznaniową, w którą wlicza się 180 milionów muzułmanów, kiedykolwiek miały przystać na to, aby posługiwać się jednym, głównym językiem hindi. Język, który mógłby się stać językiem państwowym, nie byłby językiem ojczystym, lecz raczej mową tych, którzy podbili Indie za czasów kolonialnych. Jedynym językiem, wspólnym dla wszystkich mieszkańców Indii, nie tylko jest, lecz także musi być, angielski, dlatego, że jest on obcy, zagraniczny, i może stać się językiem wspólnym ludziom.

Pojawienie się komputerów jedynie wzmocniło pozycję angielskiego w zglobalizowanych Indiach. Do najbardziej interesujących fenomenów lingwistycznych naszych czasów z pewnością zalicza się, z jednej strony, zanikanie wielu pomniejszych języków – języków używanych przez małe, wyizolowane i podupadłe narody – oraz nadzwyczajny sukces angielskiego, który obecnie cieszy się takim statusem, jakiego nie posiada żaden inny język na Ziemi. Poprzez dominację tego języka w angielskojęzycznych mediach – mam tu na myśli media, w których mówi się z amerykańskim akcentem oraz potrzebę ludzi biznesu i naukowców komunikowania się wspólną mową – obecnie znajomość angielskiego rozszerza się na każdy zakątek świata.

Żyjemy w świecie, który pod kilkoma ważnymi względami zaśmiecony jest najbardziej banalnym nacjonalizmem oraz radykalnym post-nacjonalizmem. Główna bariera w handlu może przestać istnieć, pieniądz może stać się wspólny dla wielu narodów (tak jak stało się to w przypadku dolara, który obecnie jest walutą w kilku latynoamerykańskich krajach, oraz – rzecz jasna – euro). Istnieje jednak uporczywa cecha naszego życia, która zakorzenia nas w starych przyzwyczajeniach, jakie postępowy kapitalizm, postępowo nauka i technologia oraz postępowo dominacja imperialna (w amerykańskim stylu) uważają za niezwykle krępujące. Jest nią fakt, iż posługujemy się wieloma tak bardzo różnymi językami.

Stąd zrodziła się potrzeba języka międzynarodowego. A czy jakkolwiek inny miałby większe szanse na sukces niż angielski?

Już teraz można dostrzec wpływ globalizacji angielskiego na losy literatury, czyli tłumaczeń. Przypuszczam, iż mniej obcojęzycznych utworów literackich, szczególnie w tych językach, które są uważane za mniej ważne, jest tłumaczonych na angielski teraz, niż, powiedzmy, dwadzieścia, trzydzieści lat temu. Jednakże wiele książek napisanych po angielsku jest tłumaczonych na języki obce. Obecnie niezwykle rzadkie jest pojawianie się zagranicznych powieści na liście bestsellerów *New York Timesa*, w przeciwieństwie do tego, co działo się dwadzieścia, trzydzieści, pięćdziesiąt lat temu. Owiane sławą powieści Kundery i Márqueza, Lampedusy, Pasternaka i Grassa, były bestsellerami w Stanach Zjednoczonych. Niewiele ponad pół wieku temu napisany przez Tomasza

Manna *Doktor Faustus* widniał przez pewien czas na szczycie listy bestsellerów – dziś trudno to sobie wyobrazić.

Często zakłada się, że celem tłumaczenia jest sprawienie, by utwór „brzmiał” tak, jak gdyby był napisany w języku, na który jest tłumaczony.

Tłumaczenie jest czynnością nie tylko praktykowaną przez każdą nację, lecz także stanowi przedmiot tradycji narodowych. W niektórych krajach naciski na to, by usunąć z utworu wszystkie ślady tego, że jest obcojęzyczny, są większe niż w innych. Tradycja francuska ma charakter „adaptatywny”, co jest konsekwencją zbyt wielkiej wierności tekstowi. Kiedy wykazywałam skandaliczną niedokładność w tłumaczeniu jednej z moich książek, moi francuscy wydawcy zwykli mawiać: „Tak, to prawda..., ale to się dobrze czyta po francusku.” Kiedy słyszę, że książka, moja lub innych autorów, dzięki wysiłkowi tłumacza jest chętnie czytana we Francji, wiem, że została ona w pewien sposób zmieniona, tak aby pasowała do istniejących konwencji (zazwyczaj niezbyt wybrednych) współczesnej prozy francuskiej. Jednakże moja proza, pisana w języku angielskim, nie zawsze cechuje się konwencjonalizmem w swoim rytmie i wyborach leksykalnych – mogę być pewna, że nie zostanie to oddane w języku francuskim. Tylko sens – i to jedynie jego część (ponieważ sens wydaje mi się być szczególnie połączony ze wszystkim, co może wydawać się dziwne w mojej prozie) – jest przekazywany.

Pierwsza i, prawdopodobnie, ostatnia krytyka pomysłu – tak dobitnie wyjaśnionego przez Hieronima – że obowiązkiem tłumacza jest zupełne przekształcenie tekstu tak, aby wpasował się w ducha nowego języka, została umieszczona przez niemieckiego teologa protestanckiego Friedricha Schleiermachera (1768-1831) w jego wielkim eseju „O różnych sposobach tłumaczeń”, napisanym w 1813 roku.

W stwierdzeniu, że „zrozumiały tekst” nie jest głównym osiągnięciem tłumaczenia, Schleiermacher oczywiście nie ma na myśli wszystkich tłumaczeń, jedynie przekłady literatury – te, które zawierają to, co on przyjemnie nazywa „świętą powagą języka”. Jeśli chodzi o resztę, pisze: „w związku z tym, że narody zdają się mieszać w naszych czasach w większym stopniu, niż robiły to wcześniej, rynek jest wszędzie. Są to rozmowy na rynku, niezależnie czy dotyczą społeczeństwa, literatury czy polityki, zupełnie nie należące do zakresu pracy tłumacza, a raczej do interpretatora.”

Dla Schleiermachera tłumaczenie, które służy czemuś więcej niż handlowi, jest złożoną koniecznością. Istnieje tu wewnętrzna wartość rozpowszechniania poza językowe bariery istotnego „tekstu”. Jest tu także wartość kontaktu z czymś innym, niż to, co znamy: z obcością samą w sobie.

Dla Schleiermachera tekst literacki nie jest tylko jego własnym sensem. Jest przede wszystkim językiem, w którym jest pisany. Skoro każda osoba posiada jedną tożsamość, posiada także, zasadniczo, jeden język.

Tak jak człowiek musi zdecydować o przynależności do jednego tylko kraju, tak musi także trzymać się jednego języka. Inaczej będzie unosić się, bez żadnego związku, ponad nieprzyjazną ziemią. Prawdą jest, że nawet teraz łacina używana jest jako język biurowy, aby utrzymywać przy życiu świadomość, że był to język ludzi wykształconych, a także święty matczyny język naszych przodków. To powinno zdarzyć się także na polu wspólnej europejskiej ekonomii, aby handel stał się

łatwiejszy; także w tym przypadku może się to powieść tylko wtedy, kiedy przedmiot jest wszystkim, a ludzkie opinie i sposoby łączenia przedmiotów liczą się w małym stopniu.

Zastąpcie łacinę angielskim w niezwykle powściągliwej pochwalę Schleiermachera dla języka globalnego, wymaganego do ułatwiania międzynarodowych wymian specjalistycznych i naukowych, a zobaczycie, jak mało autor oczekuje od tego języka jako pośrednika subiektywnych, dosłownych wypowiedzi.

W kwestii konkretnej praktyki Schleiermacher zajmuje stanowisko odwrotne niż Hieronim, twierdząc, że podstawowym obowiązkiem tłumacza jest pozostanie tak blisko oryginalnego tekstu, jak to tylko możliwe, mając na uwadze, że rezultat odczytywany będzie jako tłumaczenie. Naturalizować zagraniczną książkę znaczy stracić to, co jest w niej najbardziej wartościowe: ducha języka, moralny etos, z którego powstaje tekst. Jeśli zatem przekład z, powiedzmy, francuskiego czy rosyjskiego na niemiecki brzmi tak, jakby był oryginalnie napisany po niemiecku, niemieckojęzyczny czytelnik będzie pozbawiony wiedzy o inności tekstu, pochodzącej z czytania czegoś, co brzmi zagranicznie.

Różnica pomiędzy postawami św. Hieronima i Schleiermachera polega na różnych sposobach pojmowania tożsamości narodowej jako szkieletu, wokół którego zbudowana jest różnorodność językowa. Według św. Hieronima, porozumiewanie się w innym języku nie oznaczało bycia innym człowiekiem. Hieronim żył bowiem w czasach, które pod wieloma względami nie różniły się od naszych, a w których to narodowość nie była wyraźną i stałą cechą każdego człowieka. Dla Schleiermachera zaś używanie języka innego niż ojczysty oznaczało sztuczność w każdym tego słowa znaczeniu. Píše: „że cel, jakim jest tłumaczenie dzieła w takim stylu, w jakim autor napisałby je w języku przekładu, jest nie tylko nieosiągalny, ale również zupełnie bezsensowny, bo ktokolwiek pozna nadającą wszystkiemu znaczenie moc języka - który to jest tożsamy ze specyficznym charakterem narodu, który się nim posługuje - ten musi przyznać, że każda wybitna jednostka posiadała swoją wiedzę, a także zdolność do jej przekazywania, właśnie poprzez język, i że nikt nie trzyma się swojej mowy mechanicznie, jakby była do niego w jakiś sposób przytwierdzona... a także to, że nie można na zawołanie zmienić języka, w którym się myśli, jak gdyby był on meblem, który można zwyczajnie zastąpić innym; raczej powinno się przyjąć, że człowiek myśli twórczo jedynie w mowie ojczystej, toteż pytanie, jak autor napisałby to samo dzieło w innym języku, w ogóle nie powinno być zadawane.”

Oczywiście, Schleiermacher nie zaprzecza, że istnieje coś takiego, jak umiejętność posługiwania się więcej niż jednym językiem. Zakłada jednak, że każdy ma swój „ojczysty język”, przez co mówienie czy nawet pisanie poezji czy filozofowanie w jakimkolwiek innym w jakiś sposób nie byłoby „organiczne” – to określenie wyjątkowo upodobali sobie ludzie z tamtej epoki. Jest to wyraźnie ideologiczny punkt widzenia: w rzeczywistości bowiem wiele narodów było i jest dwujęzycznych bądź nawet poliglotycznych. Włosi na przykład porozumiewają się nie tylko w tokańskim (dziś nazywanym językiem włoskim), ale także w napoletano czy romagnolo. W Quebecu zaś wykształceni ludzie powinni znać zarówno francuski, jak i angielski. W dawnym Cesarstwie Austro-Węgierskim większość wykształconych mieszkańców regionów, które dziś noszą nazwy: Austria, Czechy, Rumunia i Węgry, używała każdego dnia dwóch, a czasami nawet trzech języków. Punkt widzenia Schleiermachera nie ma charakteru wyłącznie opisowego. (Jego przekonania związane są z pochodzeniem narodowym.)

Według niego, człowiek nie tyle nie może, ile nie powinien stawiać dwóch języków na równi. Szczytem nieautentyczności byłoby więc przyjmowanie obcego języka jako ojczystego.

Czy ktokolwiek mógłby w takim razie „autentycznie” posługiwać się więcej niż jednym językiem? Pytanie Schleiermachera wciąż powraca. Co tak naprawdę oznacza opanowanie drugiego języka?

Moi przyjaciele, Amerykanie i Anglicy mieszkający od lat w Japonii (w większości z pochodzącymi z Japonii partnerami), powiedzieli mi, że Japończycy z reguły podchodzą z wielką rezerwą, a czasem nawet wrogością, do cudzoziemców mówiących bezbłędnie w ich języku. Prawdopodobnie jednak wkrótce się to zmieni, jako że Japończycy zaczynają akceptować fakt, że obecni wśród nich cudzoziemcy nie są dziwactwem, nieszczęściem czy pogwałceniem naturalnego porządku, panującego w ich państwie.

Inny ekstremalny przykład, bardziej współczesny, opanowania drugiego języka – w dodatku angielskiego – do perfekcji, ilustruje scenariusz braku autentyczności Schleiermachera. Mam na myśli kwitnące przedsiębiorstwo w multi-miliardowej branży oprogramowania komputerowego, które stało się tak ważne dla gospodarki hinduskiej. Jest to centrum telefoniczne, zatrudniające kilka tysięcy młodych kobiet i mężczyzn, którzy udzielają pomocy technicznej bądź robią rezerwacje zgłoszone przez wykręcenie „1-800” (numeru, który działa bez pobrania opłaty w całych Stanach Zjednoczonych). Są to młodzi ludzie, którzy biegle mówią po angielsku i po ukończeniu żmudnego kursu stworzonego po to, by pozbyć się indyjskiego akcentu (wielu oblewa), przebili się wyżej w tak upragnionym zawodzie w centrum telefonicznym. Płacą im hojne pensje, tyle, co za pracę za biurkiem w Indiach, choć oczywiście jest to znacznie mniej niż honoraria pracowników IBM, American Express, GE, Delta Airlines, sieci hoteli i restauracji w Stanach Zjednoczonych – z tego powodu coraz więcej tego typu prac przenoszonych jest za granicę. Hindusi często lepiej wykonują te zawody i popełniają mniej błędów, co nie jest nadzwyczajne, gdyż większość z nich ma ukończone studia.

Na wielkich piętrach biurowców w Bangalurze czy Bombaju, czy Delhi, połączenie po połączeniu odbierane jest przez młodych Hindusów siedzących w rzędach albo małych kabinach („Dzień dobry – mówi Nancy. – Jak mogę pomóc?”). Każdy wyposażony jest w komputer, który przy pomocy paru kliknięć pomaga im przywołać potrzebne numery telefonów, by zrobić rezerwacje, wyświetlić mapy po to, by poinformować dzwoniącego o najlepszym połączeniu, pogodzie, i tak dalej. Nancy czy Mary Lou, Betty, Sally Jane, Megan, Bill, Jim, Wally, Frank – te pogodne głosy, które przeszły przez paromiesięczne szkolenie, pod nadzorem instruktorów i nagrań, aby uzyskać sympatyczny akcent klasy średniej (a nie wykształconych Amerykanów), by nauczyć się mowy potocznej, nieformalnych idiomów (w tym – lokalnych) i poznać podstawowe odniesienia do kultury masowej (osobowości telewizyjne, fabuły i główne postacie z seriali komediowych, najnowszy film w kinie, aktualne wyniki baseballu i koszykówki itd.), w razie gdyby rozmowa z dzwoniącym ze Stanów Zjednoczonych się przedłużyła, będą nie tylko w stanie wykrztusić z siebie pogawędkę, ale przeprowadzić rozmowę w taki sposób, by każdy myślał, że pochodzą ze Stanów.

Aby to osiągnąć, muszą we własnych oczach stać się wiarygodnymi Amerykanami. Przydzielono im typowo amerykańskie imiona i krótkie życiorysy ich amerykańskiej tożsamości: miejsce i data urodzenia, zawody rodziców, ilość rodzeństwa, wyznania religijne (prawie zawsze są to protestanci), liceum, do którego uczęszczali, ulubiony sport, ulubiony rodzaj muzyki, stan cywilny, i tym podobne. Gdy ktoś ich zapyta, gdzie w tej chwili są, zawsze mają odpowiedź. Na przykład jeśli klient dzwoni z Savannah (Georgia), żeby zarezerwować pokój w hotelu w Macon (Georgia) i dzwoni, by zapytać, jak

najszybciej dojechać z Savannah do Macon, operator telefoniczny może powiedzieć, że on albo ona są teraz w Atlancie. Ujawnienie informacji, iż rozmawiają z Bangaluru w Indiach, prawdopodobnie skończyłoby się natychmiastowym zwolnieniem kobiety udającej-Nancy czy udającego-Billa mężczyzny. (Wszystkie rozmowy są stale i niezauważalnie monitorowane przez superwizorów.) Oczywiście, większość z tych młodych ludzi nigdy nie wyjechała z domu. Czy „Nancy” i „Bill” woleliby być prawdziwą Nancy i prawdziwym Billem? Według przeprowadzonych wywiadów i badań prawie każdy chciałby być swoim *alter ego*. Czy chcieliby pojechać do Ameryki, gdzie mogliby bez przerwy mówić po angielsku z amerykańskim akcentem? Oczywiście, że by tego chcieli.

Nasze pojmowanie literatury (więc także tłumaczeń) jest nieuchronnie reakcyjne. Na początku XIX wieku postępowo wydawała się obrona literatury narodowej i odmienności (specjalnego „geniuszu”) języka narodowego. Prestiż państw narodowościowych karmił się świadomością wyprodukowania wielkich „narodowych” pisarzy; w krajach takich jak Polska czy Węgry byli to zazwyczaj poeci. W rzeczy samej, narodowy sposób myślenia miał specyficzną liberalną odmianę w mniejszych krajach europejskich; istniała ona w krajach będących częścią systemów imperialistycznych, które zmierzały w kierunku tożsamości państw narodowych.

Koncentracja na autentyczności lingwistycznej „osobowości” literatury była jedną z odpowiedzi na te nowe idee i spowodowała intensyfikację twórczości w dialektach czy też językach regionalnych. Całkowicie inną odpowiedź na takie pojmowanie tożsamości narodowej dał Goethe, którego projekt literatury światowej (*Weltliteratur*), pochodzący z początku XIX wieku, kiedy idea tożsamości narodowej była najbardziej postępową, prawdopodobnie był pierwszym godnym uwagi.

Może wydawać się zadziwiające, że Goethe potrafił zdefiniować pojęcie w taki sposób, który wybiegał daleko poza jego czasy. Wydaje się to jednak mniej dziwne, kiedy spojrzymy na niego przez pryzmat nie tylko czasów Napoleona, ale samego Napoleona, myśląc o więcej niż kilku koncepcjach i pomysłach, które mogłyby oddać w porównywalny sposób realia napoleońskiego imperium. Jego sposób pojmowania światowej literatury przywołuje na myśl napoleoński wizerunek Zjednoczonych Stanów Europy, gdyż przez „świat” Goethe rozumiał Europę i jej państwa „satelitarne”, czyli miejsca, w których istniała już literacka wymiana międzynarodowa. Wedle Goethego specyfika i ranga języków narodowych (ściśle związanych z twierdzeniem o nacjonalizmie) są całkowicie spójne z pojmowaniem literatury światowej, która jest terminem z dziedziny światowego czytelnictwa: czytanie książek jest tłumaczeniem.

W późniejszej dziewiętnastowiecznej literaturze internacjonalizm czy kosmopolityzm stały się, w silnych państwach, bardziej postępowymi pojęciami o charakterze liberalnym. Postępem byłby naturalny rozwój literatury z „prowincjonalnej” przez „narodową” do „międzynarodowej”. Pojęcie *Weltliteratur* rozkwitało przez większość XX wieku, z jego powracającym marzeniem o międzynarodowym parlamencie, w którym każde z państw narodowych byłoby równouprawnione. Literatura byłaby takim międzynarodowym systemem, który przypisywałby jeszcze większą rolę tłumaczeniom, więc każdy z nas mógłby przeczytać książkę każdego. Globalne rozprzestrzenianie się języka angielskiego może być nawet postrzegane jako niezbędny krok w kierunku przekształcenia literatury w prawdziwie ogólnoswiatowy system produkcji i wymiany.

Jednakże, jak już wielu zaobserwowało, globalizacja jest procesem przynoszącym dość nierówne korzyści osobom tworzącym populację ludzką. Globalizacja języka angielskiego nie zmodyfikowała jeszcze historii uprzedzeń narodowościowych, czego rezultatem jest to, iż niektóre języki, i literatura

w nich pisana, były zawsze postrzegane jako ważniejsze od innych. Przykład. Zapewne *The Posthumous Memories of Bras Cubas* i *Dom Casmurro* Machado de Assisa oraz *The Slum* Aluisio Azevedosa, trzy z najlepiej napisanych powieści w końcu XIX wieku, byłyby tak znane jak najlepsze późno dziewiętnastowieczne dzieła literackie, *gdyby* tylko były napisane nie po portugalsku przez Brazylijczyka, ale po niemiecku, francusku czy rosyjsku. Czy – angielsku. (To nie jest kwestia wielkości języków: duże przeciw małym. Brazylii przecież nie brakuje mieszkańców, a portugalski jest szóstym najbardziej rozpowszechnionym językiem świata.) Pragnę nadmienić, że te wspaniałe książki są świetnie przetłumaczone na angielski. Problemem jest zaś, że nie zostały one wspomniane. To nie było, przynajmniej do tej pory, uznane za niezbędne przez kogoś wykształconego, szukającego wzruszeń, które można odczuć tylko poprzez fikcję literacką.

Starożytne biblijne wyobrażenie sugeruje, że żyjemy w różnicach, symbolicznie językowych, jedni na drugich - jak w marzeniu Franka Lloyd Wrighta o wieżowcu wysokości mili. Ale zdrowy rozsądek podpowiada, że językowe rozproszenie nie jest wieżą. Nasze geograficzne rozproszenie na wiele języków jest bardziej poziome niż pionowe (a przynajmniej takie się wydaje), z rzekami, górami, dolinami i oceanami, które okalają lądy. Tłumaczenie jest jak przejazd promem, jak przepłynięcie wskroś przez wodę.

Ale może jest coś słusznego w biblijnym obrazie. Wieża ma wiele poziomów, a jej liczni mieszkańcy tkwią jeden na drugim. Jeśli Babel nie różni się od innych wież, wyższe piętra są bardziej pożądane. Możliwe, że pewne języki zajmują całe partie wyższych kondygnacji, wielkie pokoje i imponujące tarasy. Inne języki zaś, wraz ze swoją literaturą, są upchnięte na niższych poziomach o niskich sufitach i przysłoniętych widokach.

Jakieś szesnaście stuleci po św. Hieronimie, ale zaledwie stulecie po przełomowym eseju Schleiermachera, nadeszła pora na trzecią z najważniejszych dla mnie refleksji o obowiązkach i zadaniach tłumacza. To esej Waltera Benjamina *Zadanie tłumacza*, napisany w roku 1923 jako przedmowa do przekładu *Tableaux parisiens*.

W eseju tym autor mówi, że nie czuje się w obowiązku sprawić, by Baudelaire brzmiał, jak gdyby pisał po niemiecku. Wręcz przeciwnie, jego powinnością jest zatrzymanie wrażenia „inności”, które może mieć niemiecki czytelnik. Pisze on: „Tłumaczenie jest czymś w rodzaju prowizorycznej drogi wiodącej do zapoznania się ze zjawiskiem obcości języków. Powiedzenie, że przekład czyta się jak gdyby napisany był w tym właśnie języku, zwłaszcza w czasie, w którym powstał, nie jest dla niego najlepszą pochwałą.” [tłum. Harry Zohn]

Możliwości oferowane przez przekład nie mają charakteru jedynie obronnego: ocalenia, ochrony aktualnego statusu języka tłumacza. Raczej, dowodzi Benjamin, jest to okazja, by język obcy wpływał na ten, na który praca jest tłumaczona. Powód, dla którego woli on przekład odstawiający swoją obcość jest jednak inny niż Schleiermachera. Nie chce on promować autonomii poszczególnych języków, jego sposób myślenia jest przeciwstawny jakimkolwiek ideologiom nacjonalistycznym. Są to metafizyczne przemyślenia, wyrastające z jego przekonania o naturze samego języka, według których tłumaczenie wymaga wysiłku.

Każdy język jest częścią języka obszerniejszego niż poszczególne języki. Każda indywidualna praca jest częścią literatury, która jest większa niż literatura jednej mowy.

Taki punkt widzenia – umieszczający tłumaczenie pośród literackich przedsięwzięć – próbowałam poprzeć przedstawionymi tu uwagami.

Naturą literatury, tak jak pojmujemy ją dzisiaj – i sądzę, że słusznie – jest „krążenie”, powodowane różnymi i zupełnie niejednorodnymi motywami. Tłumaczenie jest „układem krążenia” literatury światowej. Przekład literacki, zdaje mi się, jest przede wszystkim zadaniem etycznym, które odbija i powiela rolę samej literatury – rozszerza naszą wrażliwość, kształtuje ciało i umysł, tworzy duchowość, chroni i pogłębia świadomość (ze wszystkimi jej konsekwencjami), że inni ludzie, ludzie różni od nas, rzeczywiście istnieją.

Urodziłam się na tyle wcześnie, że wychowałam się w południowo-wschodniej Ameryce, myśląc iż istnieje literatura angielska, której amerykańska jest tylko częścią. Najważniejszym pisarzem w moim dzieciństwie był Szekspir. Czytanie Szekspira (a właściwie czytanie na głos) rozpoczęło się wraz z otrzymaniem ilustrowanej edycji „Opowieści Szekspira” Charlesa Lamba, kiedy miałam osiem lat. Właśnie książki Lamba i wielu innych poprzedziły cztery lata oglądania Szekspira na scenie lub w filmowych adaptacjach. Poza nim były jeszcze, opowiedziane przez kogoś czy też przeczytane: „Kubuś Puchatek”, „Tajemniczy ogród”, „Podróże Guliwera”, Brontë (wpierw „Dziwne losy Jane Eyre”, a później „Wichrowe wzgórze”), „Klasztor i ognisko domowe” („The Cloister and the Hearth”), Dickens („David Copperfield”, „Opowieść wigilijna” i „Opowieść o dwóch miastach”), Stevenson („Porwany za młodu”, „Wyspa skarbów”, „Doktor Jekyll i pan Hyde”) i „Szczęśliwy książę” Oscara Wilde'a. Oczywiście, były również amerykańskie książki, takie jak opowiadania E. A. Poe, „Małe kobietki”, powieści Jacka Londona i „Ramona”. Lecz wtedy, w kulturowej erze anglofilskiej, wciąż refleksyjnie eleganckiej, wydawało się to całkowicie naturalne, że większość książek, które czytałam, powinna pochodzić z innego miejsca, z miejsca, które jest starsze, takiej jak odległa, egzotyczna Anglia.

Gdy „gdzie indziej” się rozrosło, gdy mój głód czytania – ograniczony tylko do tekstów anglojęzycznych, rzecz jasna – objął również wyśmienite książki, oryginalnie nie napisane w języku angielskim, innymi słowy, gdy przerzuciłam się na literaturę światową, umknęła mi granica rozdzielająca anglojęzyczne teksty oraz całą resztę. Dumas, Hugo i wszyscy inni zostali pochłonięci wraz z nimi... Wiedziałam, że rozpoczęłam czytać „zagranicznych” (poznawałam to jedynie po dziwnych nazwiskach) autorów, lecz nigdy nie zastanawiałam się nad pracą, która udostępniła mi te apetyczne książki. (Pytanie: Kto jest największym dziewiętnastowiecznym rosyjskim pisarzem? Odpowiedź: Constantine Garnett.) Nawet gdybym rozpoznała dziwaczne (bo „zagraniczne”) zdanie w powieści Manna, Balzaca lub Tołstoja, nie przyszłoby mi do głowy zastanawiać się, czy zdanie było dziwaczne również w niemieckim, francuskim, rosyjskim pierwowzorze, lub też zostało poturbowane na „granicę” przez „celników” (tłumaczy), innymi słowy: przetłumaczone po macoszemu. Dla mnie, początkującego czytelnika, nie istniało pojęcie „nieprawidłowe przełożenie tekstu”. Tłumaczenie tekstu mogło być tylko jedno – doskonałe, udostępniające mi książki światowe i pozwalające mi na ponadnarodową intelektualną ucztę. Z tego, co rozumiałam, oryginalny tekst i jego tłumaczenie różniły się tylko jednym – literkami.

Pierwszy raz zetknęłam się z problemem marnego przekładu, kiedy zaczęłam chodzić do opery w Chicago, gdy miałam szesnaście lat. Tam też trzymałam po raz pierwszy przed sobą przekład – oryginalny tekst po lewej (do tego czasu uczyłam się trochę francuskiego i włoskiego) i angielski po prawej – i byłam zdumiona i zafrapowana wyraźną niedokładnością przekładu. (Było to wiele lat

wcześniej nim zroszciałam, dlaczego słowa w librecie są niemożliwe do dosłownego przetłumaczenia). Oprócz opery nigdy nie zadawałam sobie pytania, w tamtych wczesnych latach czytania literatury w przekładzie, o to, co omijałam. Było to tak jakbym czuła, że moim zadaniem, jako gorliwego czytelnika, jest widzieć przez błędy i ograniczenia przekładu – tak jak ktoś widzi (lub patrzy w przeszłość) przez rysy na odbitce ukochanego starego filmu, który ogląda po raz kolejny. Tłumaczenie jest darem, za który zawsze będę wdzięczna. Czym – a raczej kim byłabym bez Dostojewskiego i Tołstoja i Czechowa?

Moje wyobrażenie o tym, czym literatura może być, mój hołd dla praktykowania literatury jako powołania i moje utożsamianie pracy pisarza z ćwiczeniem wolności - wszystkie te elementy, składające się na moją wrażliwość, byłyby nie do pojęcia bez książek, które czytam w przekładzie od najmłodszych lat. Literatura była umysłową podróżą w czasie i przestrzeni; w przeszłość... i do innych państw (jak cudowny pojazd, który może zabrać nas wszędzie). Oprócz tego literatura była także krytyką czyichś realiów, czynioną w świetle innych, lepszych standardów.

Pisarz jest jednak przede wszystkim czytelnikiem. To właśnie poprzez czytanie innych wypracowuję standardy, do których mogę odnieść swoje prace, i wobec których wypadają one wręcz żałośnie. To właśnie czytanie, nawet bardziej od pisania, czyni mnie częścią społeczności – społeczności literackiej – w której martwi pisarze przeważają nad żywymi. Czytanie, a więc posiadanie własnych standardów, jest tym, co pozwala nam odnieść się do przeszłości i inności; tym, dzięki czemu możemy obcować z literaturą w przekładzie.

Susan Sontag, *At the Same Time: Essays and Speeches*, Picador, USA 2007

Przekład z języka angielskiego: Anna Brymora, Marek Ciaś, Ola Cichoń, Piotr Grycuk, Dominik Kamiński, Zuzia Królik, Kacper Maciszewski, Marcin Mider, Natalia Maj, Ba Minh Pham, Marta Przasnek, Nina Poznańska, Jacek Siemiątkowski, Laura Skopowska (Polish A1 SL; IB2)

Redakcja: Agata Patalas